

PAUza

Akademicka



Rok XIX

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 785

Kraków, 24 września 2026

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Noblita z polską przeszłością

Trzydzieści lat temu profesor Harold Walter Kroto, (z dwoma współpracownikami), otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za odkrycie nowej substancji złożonej wyłącznie z atomów węgla, której nadał nazwę: FULLEREN.

Do czasu tego odkrycia znane były tylko dwie substancje zbudowane wyłącznie z atomów węgla: diament oraz grafit. Są to tak zwane odmiany alotropowe.

Zarówno diament, jak i grafit są produktami kopalnymi, ukształtowanymi miliardy lat temu (starsze od dinozaurów?) w warunkach wysokich temperatur i wysokich ciśnień (tysiące atmosfer), na głębokościach ponad 100 km. Z upływem czasu niektóre z tych warstw przemieściły się bliżej powierzchni ziemi i stały się dostępne. Nazwa „diament” pochodzi od starogreckiego słowa „niepokonany”, a na-



Fot. AGH

zwa „grafit” od starogreckiego słowa oznaczającego „pisanie”.

Antoine Lavoisier udowodnił, że diament składa się wyłącznie z węgla: spalił diament i ustalił, że produktem spalania jest dwutlenek węgla.

Węgiel kopalny nie jest czystym węglem; powstał na drodze zwęglania substancji organicznych, ale w procesie ewolucji zabrakło czasu, aby pozostał tylko sam węgiel.

Profesor Kroto urodził się w Anglii w 1939 r. w rodzinie żydowskiej

W todzie doktora honoris causa Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (2012)

pod nazwiskiem Krotoschiner. Rodzice, urodzeni w Berlinie, wyemigrowali do Anglii w latach 30., po dojściu Hitlera do władzy. Jego ojciec, którego bliscy pochodzili z miejscowości Bojanowo, położonej niedaleko Krotoszyna w Poznańskim, w 1955 r. zmienił nazwisko na Kroto. Przyszły Profesor, który wówczas chodził jeszcze do szkoły, wspominał żartobliwie, że koledzy, w związku z brzmieniem nazwiska, brali go za Japończyka.

W szkole i na studiach interesował się chemią i fizyką. Jednocześnie z zapalem grał w tenisa, był nawet członkiem drużyny uniwersyteckiej występującej w finałach rozgrywek w Anglii.

Po studiach związał się z Uniwersytetem w Sussex, na którym pracował łącznie przez 40 lat. W 2004 r. przeniósł się do Uniwersytetu Stanu Floryda, gdzie oprócz lepszego uposażenia otrzymał znaczące środki na badania. W tym czasie był już laureatem 42 doktoratów honoris causa (w tym 14 w samej Anglii) i prowadził bardzo intensywną działalność dydaktyczną, wygłaszając 60–70 wykładów rocznie, czyli częściej niż raz w tygodniu. Był przekonany ateistą.

Niektóre wykłady poświęcił filozofii oraz problemom religii.

Profesor Kroto zmarł w 2016 roku w wieku 77 lat.

Badania prowadzące do odkrycia fullerenów wiązały się z zainteresowaniem Profesora Kroto związkami węgla o długich łańcuchach, występującymi w przestrzeni międzygwiazdowej. Uważał, że takie substancje mogą powstawać w wysokich temperaturach, szczególnie w pobliżu czerwonych gigantów. Postanowił więc sprawdzić, jakie substancje powstają podczas ogrzewania grafitu do wysokich temperatur. We współpracy z uczonymi, którzy dysponowali odpowiednimi urządzeniami oraz możliwością pomiarów masy cząsteczek badanej substancji metodą spektrometrii molekularnej, przeprowadził szereg doświadczeń, ogrzewając grafit pulsami lasera do ponad 1000°C. Okazało się, że w badanych próbkach często występuje substancja, której cząsteczki mają masę 60 atomów węgla. Opierając się na wcześniejszych pracach teoretycznych, Profesor Kroto uznał, że najbliższa, odpowiednia struktura przypomina samonośną kopułę geodezyjną. Jest to, w odpowiedniej skali, dwudziestokąt ścięty. Typowym przykładem, oczywiście o znacznie większych wymiarach, była kopuła budynku USA z wystawy światowej Expo 67 w Montrealu. Twórcą takich konstrukcji i teoretykiem budowy kopuł samonośnych był Profesor Richard Buckminster Fuller. Profesor Kroto, biorąc pod uwagę analogie,



nazwał obserwowane struktury buckminsterfullerenami, w skrócie fullerenami. Aby zachować rozmiary narzucone przez 60 atomów węgla i strukturę fullereny, należało ułożyć na powierzchni 12 pięciokątów i 20 sześciokątów.

Pierwsze dwie prace Profesora Kroto, opisujące propozycje budowy fullerenów, ukazały się w 1985 i 1987 r. Krytycy uważali wówczas, że dowód ze spektrometru nie jest wystarczający, mimo że badano produkty pochodzące z grafitu. Kwestionowano, m.in. stopień czystości wyjściowego materiału. Profesor Kroto skoncentrował wówczas badania na znalezieniu dodatkowych dowodów. Gdy zastosował do badań mas metodę czułą wyłącznie na atomy węgla (^{13}C Nuclear Magnetic Resonance), udało mu się w 1990 r. zaobserwować sygnał przy odpowiedniej masie. Był to więc poszukiwany definitywny dowód.

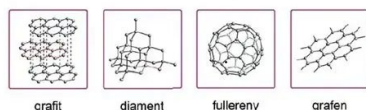
Minęło jeszcze kilka lat i w 1996 r., jak było wspomniane, Profesorowi Kroto i dwóm jego współpracownikom została przyznana Nagroda Nobla „For their discovery of Fullerenes”.

Liczba mnoga „Fullerenes” pochodzi stąd, że inne struktury podobne do C₆₀ zostały odkryte i również opisane przez Profesora Kroto (np. C₇₀).

Zanim ukazały się prace Profesora Kroto, kilku autorów postulowało możliwość występowania podobnych struktur, również C₆₀. Były to na ogół rozprawy teoretyczne, spośród których najlepiej znana jest seria prac, które napisał Profesor Eiji Osawa (Uniwersytet Hokkaido). Kiedy przeczytał prace Profesora Kroto z 1985 r., miał powiedzieć: „To najgorszy dzień w moim życiu”, przecież „This is my baby”.

Po przyznaniu Nagrody Nobla tematyka dotycząca fullerenów była poruszana w blisko tysiącu prac rocznie. W rezultacie prowadzone w tym zakresie badania doprowadziły do przyznania kolejnej

Alotropia węgla



Nagrody Nobla. Odkryta bowiem została w 2000 r. płaska odmiana fullereny, nazwana grafenem. Andriej Gejm i Konstantin Nowosiołow

z Uniwersytetu w Manchesterze otrzymali w 2010 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki właśnie za odkrycie i badania grafenu.

Disponujemy zatem czterema odmianami alotropowymi węgla, są to: grafit, diament, fullereny i grafen.

Fullereny C60 i C70 są dostępne w firmach odczynnikowych, przy czym cena zależy od stopnia czystości; 1 g C60 o stopniu czystości 99,5% kosztuje ok. 1000 PLN.

STANISŁAW PENCZEK

Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN

Jan Kasprówicz – sto lat po śmierci

W sobotę pierwszego sierpnia br. minęło sto lat od śmierci Jana Kasprówicza, młodopolskiego poety, dramaturga, krytyka, tłumacza i uczonego.

Twórca, urodzony w 1860 r. na kujawskiej wsi pod Inowrocławiem, włączanym wówczas w skład Wielkopolski, zmarł w 1926 r. w domu na zakopiańskiej Harendzie. Dom ten zakupił kilka lat wcześniej za środki, jakie przyniosło mu tłumaczenie Szekspira. Tułaczego życia dokonał na ziemi własnej, w poetycznym, wymarzonej gospodarstwie nad potokiem Cicha Woda, w którego szmer lubił się wsłuchiwać, wśród szumu drzew, które nieodmiennie podziwiał, w obliczu natury, które lubił najbardziej ze wszystkich kwiatów. W obecności swojej ukochanej żony Marusi. Jego zwłoki zostały wystawione w bibliotece, którą wypełniał bogaty, ponad cztery tysiące woluminów liczący księgozbiór, kompletowany od wczesnej młodości kosztem wielu wyrzeczeń. Zachowana fotografia tego momentu przedstawia eleganckiego mężczyznę, jakby właśnie przeniesionego ze świata rzeczywistego do świata książek. I tam zaczynającego nowe życie.

W istocie w końcu lat dwudziestych i w latach trzydziestych Kasprówicz zaznał jeszcze większej sławy niż przed śmiercią. Mówi się nawet o kulcie poety, w szczególności na Podhalu i w Wielkopolsce. Na Harendzie według projektu Karola Stryeńskiego zbudowano ze skał tatrzańskich piękne modernistyczne mauzoleum i tam w 1933 r. ostatecznie umiejscowiono mogiłę poety.

Jednak po drugiej wojnie Kasprówicz jako sympatyk ruchu narodowego i autor *de facto* głęboko religijny, choć przez długi czas pozostający w sporze z artykułami wiary i Kościołem, stał się wielkością niepożądaną przez władze i, zwłaszcza w latach instalacji komunizmu i rozkwitu stalinizmu, preparowaną i pomniejszaną. Dokonano selektywnej rewindykacji spuścizny po nim ze względu na niski stan społeczny autora i jego studencki romans z socjalizmem, niemniej nie odzyskał on wcześniejszej, eksponowanej, niekiedy niemal wieszczkiej pozycji. Anihilacji uległo poznańskie Towarzystwo Literackie im. Jana Kasprówicza, utworzone przy bibliotece, przekazanej miastu w 1929 r. przez Marię Kasprówiczową, nie zezwolono na odtworzenie ośrodka badań nad dziedzictwem i epoką poety. Rozproszony został księgozbiór.

Na szczęście w późniejszych latach Roman Loth usystematyzował ogromny dorobek Kasprówicza w osobnym tomie *Bibliografii literatury polskiej „Nowy Korbut”* i udostępnił w wielotomowej edycji krytycznej, a Jan Józef Lipski poddał twórczość poety wnikliwej interpretacji w obszernej, acz niedokończonych monografii. Bydwa profesorowie z warszawskiego IBL stworzyli solidny grunt pod dalsze prace nad pisarstwem Kasprówicza, których powstało już немало. Wydaje się, że dzisiaj jego utwory zaczynają się znów cieszyć zainteresowaniem nie tylko paru specjalistów, ale szerszej publiczności. Nie trzeba obchodzić stulecia śmierci poety, by odnotowywać różne przejawy jego obecności w kulturze. Okazja ta wydaje się bardziej stosowna do przypomnienia go jako człowieka, zmagającego się z wyzwaniem i ograniczeniami śmiertelnej egzystencji.

Wszystko, co Kasprówicz w życiu uzyskał, było efektem wytężonej pracy – od pierwszych pochwał w szkole po liczne laury poetyckie

i godność rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Wykształcenie zdobył dzięki przezorności matki, życzliwej opiece paru nauczycieli, mecenatowi Józefa hrabiego Kościelskiego, a w pierwszym rzędzie dzięki swojemu ogromnemu, wielokierunkowemu talentowi i niebywalej determinacji. Zdobył je wbrew liczny przeciwnościom losu, dojmującemu ubóstwu rodzinnego domu, opresyjności pruskiego szkolnictwa, głębokim podziałom i uprzedzeniom społecznym. Jego biografia zdaje się realizować wzorzec *selfmademana*, lansowany jeszcze przez pozytywistów. Jeżeli trochę wiadomo o początkach trudnej drogi, którą przebył Kasprówicz, to dziwnie rzadko wspomina się o jej wspaniałym zwieńczeniu. W szkołach wspomina się jeszcze o jego dzieciństwie, spędzonym w nędzy, o wątkach chłopskich we wczesnej twórczości, o późnej fascynacji góralszczyzną, ale przede wszystkim zwraca się uwagę na jego dokonania artystyczne – symbolizm cyklu sonetów *Krzak dzięki róży* (czyta się wówczas jeden, maksimum dwa wiersze), ekspresjonizm hymnu *Święty Boże, Święty Mocny* (poznawanego we fragmentach); ten ostatni siłą tradycji zestawia się niekiedy z Mickiewiczowską Wielką Improvizacją i napomyka o kryzysie duchowym, leżącym u podstaw metafizycznego buntu. Najczęściej na tym się znajomość Kasprówicza kończy, a przecież nie tylko jego najgłośniejsze dokonania poetyckie, ale właśnie cała, wprost niewiarygodna kariera pisarska i naukowa może wciąż angażować wyobraźnię młodych ludzi, niepozabawionych przecież i dziś wielkimi pragnieniami, które wydają się trudne do wprowadzenia w czyn, trudne nawet do uświadomienia sobie.

Nie podana na tacy zgodnie z mdłym menu szkolnym, lecz ujrzana jako wynik ciągłego dążenia do czegoś więcej, wyżej, lepiej i – zaryzykujemy taki neologizm – „nowiej”, poezja Kasprówicza potrafi silnie przemawiać również dzisiaj. Nosi ona ślady wytężonej, ale skutecznej pracy nad językiem i formą, a dzięki temu skrywa pokłady energii twórczej. Zamiłowanie Kasprówicza do Tatr i wypraw w góry wysokie wynikało z tego samego pędu wzwyż, z temperamentu odkrywcy. Jako poeta próbował różnych gatunków i konwencji, ale nie popadał w konwencjonalność. Sukcesywnie przechodził z poetyki w poetykę, ze stylu w styl, nie przestając przy tym odnajdować w nich swojego głosu. Kiedy dane środki przestawały mu wystarczać, szukał nowych. Robił to z powodzeniem. W *Księdze ubogich* z 1916 r. po raz pierwszy na pełną skalę wprowadził do naszej liryki trzeci system wersyfikacyjny – tonizm.

Siła ducha nie pozwalała mu satysfakcjonować się dłużej osiągniętym pułapem, chęć uzyskania pozycji, bawić biegiem literacką, przeciwnie, był uczulony na wszelkie skostnienia, hierarchiczność, nieautentyczność. Wchodząc w różne role, pozostawał sobą, co oznaczało też, że sam nie wywyższał się, lecz pociągał innych. Wyczuwali to jego studenci, garnąc się do rozmów ze swoim wykładowcą. Widzieli to też poronińscy gospodarze Kasprówicza, kiedy jeszcze przyjeżdżał tam jako letnik czy wielomiesięczny rezydent, zauważali zakopiańscy sąsiedzi.

Stulecie śmierci Kasprówicza jest wspominane w Inowrocławiu, Toruniu, Poznaniu, Krakowie i, rzecz jasna, na Harendzie. Tam na

► przełomie lipca i sierpnia miały miejsce najważniejsze uroczystości. Podczas nich można było między innymi usłyszeć, jak to Kasprzowicz, który nie stronił od życia górali, a nawet jak równy pomagał im przy żniwach, w niejednym z nich zaszczerpił pragnienie kształcenia się i zdobywania wyższego statusu. Pewien dzierżawca baru, rodowity

Zakopiańczyk, kiedy ot tak rozmawiając, zeszedł na Kasprzowicza, wyraził się o nim z uznaniem: „Swoją chłopi”. Wspomnienia o poecie, którym poświęcono niedzielny wieczór, zebrały tak liczną publiczność, że nie mogła się ona pomieścić w harendziańskich izbach. Naprawdę warto to stulecie celebrować.

RADOSŁAW OKULICZ-KOZARYN

UAM

Jurgieltyzm akademicki

O upadku prestiżu, a nawet powagi, zarówno samej nauki, jak i uniwersytetów, napisano już dość dużo. Od czasów Akademii Platona aż do końca ubiegłego wieku uniwersytet był niezależną oazą, z której ludzkość czerpała pokarm intelektualny i duchowy. Oazą, gdzie uczeni niczym nieskrępowani mogli myśleć i myśli przekazywać innym. Największym zagrożeniem dla uniwersytetu jest utrata jego autonomii, gdy musi usługiwać władcom. Sługusi prestiżem się nie cieszą. Wielu sądzi, że uniwersytety w epoce socjalizmu nie były niezależne. Amerykański historyk John Connolly opublikował nawet w 2000 roku książkę pt. *Captive University...*, traktującą o zniewoleniu, czyli o sowietyzacji, uniwersytetów we Wschodniej Europie. Cztery lata wcześniej Brytyjczyk Bill Readings wydał zaś książkę o ruinie uniwersytetów w zachodniej części świata. Sowietyzacja, jaka była, taka była, ale – przynajmniej w Polsce – nie naruszyła fundamentów humboldtowskiej idei uniwersytetu. Globalizacja natomiast, narzucona w postaci procesu bolońskiego, uruchomiła mechanizmy rujnujące same fundamenty tradycyjnego uniwersytetu. Wbrew temu bowiem, co głosi deklaracja bolońska, celem wskazanej reformy jest zamiana lingwistycznej i kulturalnej różnorodności europejskiej w kulturę korporacyjną, która pod koniec XX stulecia zaczęła dominować w świecie zachodnim, gdzie podstawową formą organizacji społeczeństwa jest korporacja. Już Galbraith pisał, że korporacje sprawują władzę ekonomiczną i polityczną, a także władzę nad wierzeniami, którą zyskują dzięki sposobowi edukowania społeczeństwa i nauczania ekonomii, przy czym ekonomiści są bezwolnym narzędziem, obiektywnie działającym na rzecz władzy korporacji.

Istnieje też bardziej aktywny sposób uniwersyteckiego usługiwania obcej, i w dodatku imperialnej, kulturze korporacyjnej, które nazwać by można jurgieltyzmem akademickim, polegającym na zastępowaniu języka naukowego żargonem korporacyjnym, uwłaczającym ludzkiej godności. Szczególnie bezsensowną służalczością jest pisanie prac bez żadnej wartości naukowej, na przykład takich jak „Koszty pozyskiwania klientów” czy „Ocena wartości klienta”. Po pierwsze, oprócz tego, że nie mają one żadnej wartości naukowej, są bezużyteczne, ponieważ firmy – zatrudniające własnych ekspertów, którzy wiedzą, jak utrzymać lojalnych klientów oraz jak oceniać ich wartość dla swoich przedsiębiorstw – z całą pewnością nie sięgną do monografii opublikowanej na uniwersytecie.

Po drugie, to sam język, urągający ludzkiej godności, nie jest odpowiedni w środowisku akademickim. Zupełnie niepojętym i żenującym zjawiskiem jest choćby bezmyślne stosowanie obraźliwego żargonu, wykreowanego przez towarzystwa ubezpieczeń na życie. Każdy człowiek, z którym niby te firmy zawierają umowę, bo w rzeczywistości sprzedają gotowe polisy, stanowi dla nich „ryzyko” i określany jest nie jako klient czy osoba, lecz właśnie jako „ryzyko”, nie ktoś, lecz coś, co może przynieść uszczerbek firmie. Brzmi to niewiarygodnie, ale firmy dokonują „selekcji ryzyka” (tak! w liczbie mnogiej!), dzieląc ludzi, którym sprzedają polisy, na dwie klasy; ci, na których można dobrze zarobić, zaliczani są do klasy „ryzyko dobre”, pozostałych włącza się do klasy „złe ryzyko”. O tym, czy dana osoba traktowana jest jako „złe ryzyko”, decydują jej cechy, na które nie ma wpływu: wiek, niepełnosprawność, chorowitość; niemniej to one sprawiają, że staje się „nieoptymalna” dla firmy.

Normalny człowiek dożywający wieku emerytalnego, przez demografów traktowany jako „obciążenie społeczne”, uważa swój wiek za błogosławieństwo losu. Nie stanowi on żadnego ryzyka dla otoczenia, poza przypadkami patologicznymi, gdy może czasem wpłynąć na zmianę planów towarzyskich swoich dzieci. Bez troski o poprawność językową pisze się prace o „ochronie ryzyka”, mając na myśli „ochronę osoby starszej”.

Szczególną popularnością cieszą się traktaty o zarządzaniu ryzykiem starości, ryzykiem dożywania określonego wieku itp. Zupełnie inaczej do tego „ryzyka” (osoby starszej) podeszli marketingowcy. W starszej osobie odkryli oni to, co w swoim żargonie nazywają potencjałem rynkowym, czyli źródłem dodatkowego zysku. Dla seniorów stworzono specjalny segment rynku, nazywając go „pieszczotliwie” srebrnym rynkiem, gdzie starsi ludzie mogą opróżniać swe portfele. Uczelnie szybko pospieszyły wskazanym nowym tropem usługiwania rynkowi. Ten sam starszy człowiek już nie jest „ryzykiem”, ani nawet seniosem, lecz przedstawicielem srebrzystego (srebrnego) pokolenia, w trosce o jakość życia którego kreujemy osobne odcinki rynku, gdzie znajdzie produkty dostosowane specjalnie do swoich potrzeb, na przykład czajnik z samoczynnym wyłącznikiem. Kolejny przykład tego typu wasalstwa stanowią publikacje o konsumpcji, będące jawną promocją konsumpcjonizmu. Konsumpcja traktowana jest jako fundament nowoczesnej gospodarki rynkowej, jako najważniejszy jej stymulator, co więcej, ograniczona jest do tego, co jest nabywane na rynku, a to się nazywa popytem. Rynek reaguje na popyt, czyli „widzi” to, co ubywa, to, co ludzie kupują, nie widzi tego, czego ludzie naprawdę potrzebują. Tego typu wasalstwo, naiwne i raczej infantylne, obniża naturalnie prestiż nauki i uniwersytetu, ale nie jest zbyt groźne. Prawdziwym niebezpieczeństwem jest ideologizacja wolnorynkowa na dużą skalę, na którą przyzwalają uniwersytety. Zupełnie niezrozumiała jest np. indoktrynacja dzieci dogmatami ekonomii wolnorynkowej za pośrednictwem zajęć na tak zwanych Ekonomicznych Uniwersytetach Dziecięcych (EUD). Tak jakbyśmy kształcili młodzieżówkę hayekowych bojowników o wolny rynek. Trudno się oprzeć wrażeniu, że bezmyślnie naśladujemy, idziemy szlakiem, jaki przecierała amerykańska organizacja przemysłowców po wyborach prezydenckich w 1932 roku. Badania opinii publicznej wykazały wówczas, że system konkurencyjnego kapitalizmu może funkcjonować tylko wtedy, gdy społeczeństwo go wspiera. A to, czy będzie ono wspierać kapitalizm czy socjalizm, zależy w dużej mierze od tego, czego dziś naucza się w amerykańskich szkołach. Nauczanie takie, w postaci zmasowanej kampanii, eufemistycznie określonej jako „edukacja ekonomiczna”, rozpoczęło natychmiast po pierwszej reelekcji Roosevelta w 1936 roku. W krótkim czasie zainstalowano 45 tysięcy bilbordów, wydano miliony broszurek dla dzieci, młodzieży i dorosłych, codziennie publikowano audycje radiowe i krótkie filmy. W każdej z tych form przekazu wpajano ludziom wolną przedsiębiorczość, wolną konkurencję. Skutki takiej akcji, prowadzonej dzień po dniu, tydzień po tygodniu, były zaskakujące – w 1951 roku aż 76% obywateli wierzyło w wolną przedsiębiorczość, a tylko 10% było przeciw, podczas gdy w 1937 roku aż 68% Amerykanów negatywnie odnosiło się do kapitalizmu wolnorynkowego. Po 1989 roku uwierzyliśmy w zbawczość wolnorynkową, a teraz próbujemy zaszczerpić ją naszym dzieciakom ze szkół podstawowych.

WALENTY OSTASIEWICZ

Uniwersytet Ekonomiczny
we Wrocławiu

Rowerem przez Polskę

Przeczytałem niedawno *Rowerem przez II RP...* Bernarda Newmana, Anglika, który w 1934 roku przejechał na rowerze do słownie całą Polskę¹. Obserwował uważnie i rozmawiał z ludźmi ze wszystkich warstw. Książka daje więc niezwykle barwny i szczegółowy wizerunek ówczesnej Polski, widzianej oczami niezależnego, ale życzliwego obserwatora. Nie potrafię naturalnie ocenić, do jakiego stopnia jest to wizerunek poprawny, ale widać, że autor patrzy na nas z dużą sympatią. Najwyraźniej po prostu Polskę i Polaków polubił.

Toteż książkę czyta się z przyjemnością, ale i ze smutkiem. Bowiem obraz, jaki się wyłania, jest raczej ponury. Opis kolosalnego zacołania oraz powszechnej nędzy polskiej prowincji są trudne do przełknięcia dla człowieka, który – jak ja – był karmiony przez rodziców opowieściami o wspaniałych czasach przedwojennych. Niewątpliwie były one lepsze od tego, co nastąpiło potem, czyli okupacji i PRL-u. Ale na pewno nie zasługują na adorację. Autor to widzi i skrupulatnie opisuje.

Zachęcony, sięgnąłem do następnej książki Newmana, który odwiedził Polskę ponownie we wrześniu 1945. *Rowerem przez Polskę w ruinie...* to relacja z tej wyprawy². Autor jest dosłownie przerażony zniszczeniami i ogromem pracy koniecznej do odbudowy zrujnowanego kraju. Opowieść zaczyna się od Warszawy, która, chociaż jest morzem gruzów, powraca do życia. Newman podziwia inicjatywę i odwagę Warszawiaków, ale dostrzega też smutną rzeczywistość: niedostatek żywności, życie bez bieżącej wody, prądu i komunikacji oraz, co gorsza, brak elementarnego bezpieczeństwa. Przy tym rosyjscy żołnierze rabujący kogo się da po zapadnięciu zmroku. Sam doświadczył takiego napadu, a wyszedł cało tylko dlatego, że Rosjanie rozpoznali w nim Anglika.

Obraz reszty kraju nie jest wiele lepszy. Newman odnotowuje ogromne straty w infrastrukturze i w gospodarce, a zwłaszcza gigantyczne problemy wynikające z przesunięcia granic i migracji milionów ludzi, którym trzeba zorganizować zwykłe, w miarę bezpieczne życie. I to w sytuacji, gdy na nowych terytoriach prawo właściwie nie działa, przestępcy są bezkarni, panuje chaos, co noc regulowane są krwawe porachunki między gangami szabrowników. W dodatku rosyjska armia niszczy bezsensownie poniemieckie fabryki, wywołując zdezelowane resztki, a także wspólnie z polską milicją rabuje osadników. Mimo to czuje się atmosferę nadziei na przyszłość, zwłaszcza w młodym pokoleniu.

Autor uznaje potrzebę „wymiany ludności”, uważa, że trwały pokój w tej części Europy będzie można uzyskać jedynie wtedy, gdy praktycznie znikną „mniejszości narodowe”, które przed wojną były wykorzystywane do prowokowania napięć. Ubolewa oczywiście nad tragedią przesiedleńców (polskich i niemieckich), ale widzi to jako konieczne do uniknięcia przyszłych konfliktów.

Trzeba przyznać, że tekst tchnie optymizmem, Newman wierzy, że Polacy potrafią skutecznie zagospodarować nowe ziemie (w czym chyba idzie w poprzek opinii Churchilla). Przy okazji dość naiwnie komentuje relacje polsko-rosyjskie, ciągle jeszcze rozważając poważnie możliwość, że Stalin dopuści do wolnych wyborów, wycofa armię z Polski i w ten sposób doprowadzi do przyjaznych stosunków z nową Polską. Mam wrażenie, że w tej sprawie starał się raczej być

„politycznie poprawny”, bo taka wtedy była narracja Zachodu, ale może się myłę.

Cytowane są rozmowy z wieloma ludźmi, w tym również z członkami rządu. Trudno to dzisiaj pojąć, ale widocznie była ogromna potrzeba przekazania na Zachód dobrej opinii o „nowej” Polsce, a słowo „Anglik” otwierało wszystkie drzwi.

Ciekawe są jego opinie o polskich przywódcach komunistycznych. Zdecydowanie najwyżej ocenia Gomułkę, określając go jako przekonanego komunistę, ale komunistę POLSKIEGO. Zacytuje fragment:

[...] Warto obserwować Wicepremiera Władysława Gomułkę. Jest żarliwym komunistą i nie da się go zastraszyć ani przekupić – to ktoś o niepohamowanej energii i pasji. Szczerze przekonany o słuszności swej sprawy, nieugięcie dąży do uczynienia Polski komunistyczną republiką: jego wiara jest tak ogromna, że nie nadwątla jej fakt, iż większość ludzi w kraju nie chce komunistycznej Polski. Wykazał się odwagą, działając w podziemiu podczas wojny i teraz mu jej też nie brakuje. Cieszy się reputacją człowieka, który wszystko postawi na szale, by osiągnąć swój cel. [...] Niezależnie od swego komunizmu podkreśla dobitnie, że jest Polakiem, a nie rosyjską pacynką.

Niezbyt ceni prezydenta Bieruta: [...] Bierut jest niski i krępy oraz bez wątplenia bardzo inteligentny. Wydawał mi się bardzo zmęczony – co zrozumiałe w obliczu odpowiedzialności i trudności związanych z wysokim urzędem, na jaki nagle go powołano. Rozmawiał ze mną szczerze i bezpośrednio, nigdy nie próbując wykręcać się od odpowiedzi na jakieś pytanie. Wypowiadał się całkiem otwarcie np. na temat relacji polsko-rosyjskich i nie udawał, że są idealne. [...] Nie ma on silnej osobowości, ale uznałbym go za kompetentnego i – gdyby okoliczności tego wymagały – twardego człowieka.

Autor ubolewa nad losem ziemian, którzy decyzją polityczną nie tylko zostali pozbawieni majątków (co akceptuje z powodu wielkiego „głodu ziemi”), ale również domów i rzeczy osobistych, tak że wielu znalazło się w nędzy. Natomiast odnotowuje uznanie nowej władzy dla „fachowców”, w tym nawet poprzednich właścicieli fabryk, którym pozwala się nadal zarządzać majątkiem, wykorzystując ich doświadczenie. Faktycznie, moi profesorowie np. wspominali, że komuniści traktowali z dużym szacunkiem „przedwojennych” uczonych. Dopiero gdy umocnili władzę, te relacje się zmieniły.

Dodam od siebie, że szacunek dla uczonych wtedy może i był, ale pewne rzeczy w Polsce są niezmiennie. Newman komentuje:

Podstawa wynagrodzeń w Polsce jest zaburzona. Być może jest błędem płacić profesorowi trzy razy tyle co hydraulikowi, ale z całą pewnością jest błędem płacić hydraulikowi trzy razy tyle co profesorowi.

Zachęcając szczerze do lektury, która uświadamia, jak wielką drogę przeszliśmy od tamtych czasów, zakończę cytatem, który Newman przytacza jako zdanie „profesora z Łodzi”:

Polacy nigdy nie ukazują się ze swojej najlepszej strony w czasach prosperity lub sukcesu, ale w mrocznych okresach mogą iść w zawody z każdym narodem na świecie. Dziś jest z nami lepiej, bo jest z nami gorzej.

Cóż, widocznie dziś jest z nami gorzej, bo jest z nami lepiej.

ANDRZEJ BIAŁAS

¹ B. Newman, *Rowerem przez II RP. Niezwykła podróż po kraju, którego już nie ma*, przekład E. Kochanowska, Kraków 2021.

² B. Newman, *Rowerem przez Polskę w ruinie. Niezwykła podróż po kraju, który zmienił się nie do poznania*, przekład E. Kochanowska, Kraków 2022.

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;
Witold Brzozkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja